



FOT. JACEK POŚNIA

# Często słyszę: Po co ta aktorka wpieprza się w cudzy ogródek

„Udaje, że jest dobra” albo „udaje, że coś robi” – piszą o mnie. Czasem boli, ale ani mnie to nie zmienia, ani nie zniechęca – mówi ANNA DYMNA – str. C8-9

# Dymna: Zawsze znajdują się ludzie, którzy będą chcieli mi dokopać

**NIE JEST MATKĄ BOSKĄ. GDY TRZEBA, ZAKŁNIE.** Popelnia błędy, ma swoje słabości, gorsze dni i wrogów, którzy tylko czekają na jej błąd. – Bo pomaganie innym wiele osób drażni. Wydaje się podejrzane – mówi Anna Dymna, aktorka, prezes fundacji „Mimo wszystko”

ROZMAWIJA Katarzyna Kachel, Urszula Wolak | ZDJĘCIE Bartłomiej Sowa

Jak była matką, mówiła, że została niepletwonurkiem. Była tobużem, wspinała się po drzewach i pluła na odległość dalej niż niejeden chłopak. Maturę zdała w VII Liceum Ogólnokształcącym im. Zofii Nałkowskiej w Krakowie. Jest absolwentką krakowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Od 1973 związana z krakowskim Starym Teatrem. Zadebiutowała w 1969 w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie w roli Isi i Chochota w Weselu Stanisława Wyspiańskiego (reż. Lidia Zamkow). Jeszcze w trakcie studiów została żoną Wiesława Dymnego. Po jego tragicznej śmierci (12 lutego 1978) ponownie wyszła za mąż za Zbigniewa Szotę (syn Michał, ur. 1985), a potem za Krzysztofa Orzechowskiego. Lubi, gdy trzynasty wypada w piątek, a czarny kot, który przebiega jej drogę, przynosi szczęście. Przywiązuje się do miejsc, przestrzeni, opowieści, ludzi i książek.

– Jakiego wywiadu się Pani spodziewa?  
– Przyjemnego.  
– **Musimy Panią rozczarować.**  
– To wychodzę. Pewnie macie jakąś tezę, którą za wszelką cenę będziecie chciały udowodnić.  
– **Chcemy Panią lepiej poznać.**  
– Każdy dziennikarz tak mówi. Większość interesuje się później tylko tym, co kto je i z kim sypia.  
– **Nas to nie interesuje. Zastanawia nas natomiast, dlaczego wszyscy piszą o Pani to samo.**  
– To znaczy co?  
– „Instytucja zaufania publicznego”, „orędowniczka pomocy słabym i wykluczonym”, „pełna ciepła i słodyczy” – brzmi jak litania do świętej.  
– I co ja mam odpowiedzieć? Mogę jeszcze dodać: „Matka Boska od Downów”, „polska Matka Teresa”.  
– **Nielatwo jest pomagać?**  
– Dobro tak naprawdę jest dla niektórych ludzi podejrzane. Drażni. Na szczęście nie wszystkich. A działania na rzecz osób niepełnosprawnych to naprawdę delikatna sprawa. Na przykład kiedy wymyśliłam hasło: „Zmieniamy świat na piękny i jaśniejszy”, to czasem spotykam się z reakcją: „Co za kretynka! Co ona gada? Przecież życie jest takie okrutne”.  
– **Zarzucają Pani naiwność?**  
– „Głupia, infantylna aktorka” – wiecie, ile razy to słyszałam? A przecież wiem, jakie jest życie. Stykam się codziennie z prawdziwym piekłem na ziemi. Hasła, które wymyśliłam, nie wynikają więc z mojej naiwności, tylko z przekonania i doświadczenia, że jeżeli chcę pomagać, nie mogę epatować nieszczęściem. To nic nie da.  
– **Nie ugnie się Pani przed presją społeczeństwa?**  
– Zawsze będę mówiła, że życie jest piękne i warto innym pomagać. Choć wiem, że są tacy, którzy wołają narzekając, kłąć i głościć, że świat jest obrzydliwy. I gdybym z nimi tak popuła, bardziej by mnie polubili.  
– **Pani nie ma ochoty czasem zakląć?**  
– Jak trzeba, to klnę. Ale przecież nie tam, gdzie mogłabym tymi słowami kogoś obrazić lub skrzywdzić. Przy mojej Mamie raz tylko powiedziałam „dupa” i tak się zaczerwieniła, że było mi wstyd. No ale, gdy pracuję ze studentami, czasem używam takich słów na przełamanie. Zresztą bez brzydkich słów ludzie również potrafią ranić.  
– **Doświadczyła Pani tego?**  
– No pewnie. Różne rzeczy słyszę: „Udaje, że jest dobra”. Albo: „Udaje, że coś robi”. Czasem boli, ale ani mnie nie zmienia, ani nie zniechęca.  
– **Broni się Pani przed tym?**  
– Po co? Wiem, co robię, a na udawanie nie mam czasu. Słucham różnych opinii, niczego nie dementuję, bo to i tak nic nie da. Uważam natomiast, by nie zrobić żadnego fałszywego

kroku, nie powiedzieć niepotrzebnego słowa. Przecież mam na barkach ogromną odpowiedzialność, społeczne pieniądze, ludzkie zaufanie. Nie jestem jednak sama, mam profesjonalnych doradców, pracowników i przyjaciół.  
– **Taka samokontrola musi być ograniczająca.**  
– Ona porządkuje, nie ogranicza. Pozwala konkretnie i sprawnie działać. Zresztą od dziesięciu lat jestem osobą publiczną, wiem, jaka to odpowiedzialność, wiem, jak powinienem się zachowywać. Przecież ludzie mnie znają i na mnie patrzą. Nie mogę iść ulicą pijana i kłąć... choć ciekawe by to było dla mediów, prawda? Wreszcie coś nowego! Na szczęście uprawiam zawód, który ułatwia mi dopasowanie się do różnych sytuacji. Inaczej zachowuję się w gronie swoich przyjaciół, inaczej gdy jestem sama w domu i tylko kot na mnie patrzy – wtedy nic nie muszę, inaczej, gdy pracuję w teatrze. Jestem też zupełnie inna, gdy udzielam wywiadów. Przez samokontrolę – istnieje. Kiedyś było mi łatwiej. Mogłam mówić bez specjalnych barier to, co myślę o rzeczywistości. Teraz muszę ważyć dokładnie każde słowo, być bardziej precyzyjna, całkowicie apolityczna. Tyczy się to także udziału w reklamach. Sprzedając swoją twarz z jakąś pastą do zębów, w oczach osób, u których szukam wsparcia, stałabym się kompletnie niewiarygodna. Muszę być poważna.  
– **Cały czas coś Pani „musi”?**  
– Raczej chcę musieć. Zostałam wychowana w przekonaniu, że ktoś mnie nieustannie obserwuje, kontroluje. Mama powtarzała mi: „Małgosiu, uważaj, bo Bozia tam na ciebie patrzy”. A przecież teraz „patrzy” na mnie z góry moja Mama, Tata, Wiesiek Dymny i wielu innych Mistrzów. Staram się żyć tak, by nie zawieść ich i nie przynieść wstydu. Są moją najważniejszą samokontrolą.  
– **Kiedy jest ta jedna, prawdziwa Anna Dymna?**

**„Głupia, infantylna aktorka” – wiecie, ile razy to słyszałam? A przecież wiem, jakie jest życie. Stykam się codziennie z prawdziwym piekłem na ziemi.**

– Ale to cały czas jestem ja. Nigdy i nigdzie nie robię niczego przeciwko sobie. Z jedną twarzą wchodzę w różne przestrzenie. Są miejsca, w których się krzyczy i gdzie ja także wrzeszczę jak opętana. Po scenie teatru biegam z siekierą i zabijam, ale, gdy opada kurtyna, przestaję być morderczynią. To nie ma nic wspólnego ze schizofrenią. Hierarchia wartości porządkuje życie. Bez niej nie wiedziałabym, dokąd pójść.  
– **Najważniejsze w życiu są?**  
– Rodzina i dziecko. Tak jak zwierzę – wiem – że gdyby cokolwiek stało się mojemu synowi, rzuciłabym wszystko i pobiegła go ratować. Nie jestem wyjątkiem. Później są obowiązki prywatne i zawodowe. Wiem, że wszystko muszę podporządkować pracy w teatrze. Zagrałam w ponad stu filmach, a teatr, z którym jestem związana, nigdy na tym nie stracił. To mój cały świat. Już 41 lat pracuję na etacie w Starym Teatrze i nie chcę nawet sobie wyobrazić, by kiedykolwiek miało się to zmienić.  
– **Czas nie zna jednak litości.**  
– Zdaję sobie z tego sprawę. Słyszę jak mówi: „Zastopuj, zastopuj”. Wiem, że kiedyś mi wreszcie ręka albo noga odpadnie, nie będę mogła grać i świat się z tego powodu nie zawali.  
– **Tak po ludzku nie ma Pani ochoty zwolnić?**  
– Dymny napisał kiedyś piękny tekścik o koniu rozpędzonym, który pędzi i nie może się zatrzymać. Gdyby to uczynił, pękłoby mu serce. Bardzo osobisty tekst. O nim, ale też i o mnie.  
– **Samokontrola, uporządkowane życie. Nie popelnia Pani błędów?**  
– Popelniałam ich pewnie tysiące. W najważniejszych sprawach całe życie kierowałam się intuicją. Iść w prawo, czy w lewo? – wybierałam przeważnie słuszną ścieżkę, choć czasem może dalsze i trudniejsze, ale jednak prowadzące do tego jasnego punktu, który kiedyś pokazali mi moi Rodzice. Teraz mi łatwiej. Widzę prostą drogę przed sobą. Może dlatego, że w wieku 63 lat jestem bliżej jakiegos szczętu. Końca. Ale, o dziwo, nigdy nie miałam podstawowych dylematów.  
– **Lęk przed rozczarowaniem spędza Pani sen z powiek?**  
– Dostałam już od życia tyle dobrego i złego, że nigdy już nie będzie w stanie mnie rozczarować.  
– **A może Pani kogoś rozczarowuje?**  
– Na pewno. Choć staram się nie wywoływać takich uczuć w ludziach. Kiedyś bardzo się tym przejmowałam. Dziś wiem, że choćby nie wiem, jak się starać, i tak znajdują się ludzie, którzy będą chcieli ci dokopać. Ale to ich problem. Najwyżej będzie ich później noga bolała. Ja muszę po prostu robić swoje nawet wtedy, gdy czytam: „Anna Dymna buduje sobie za społeczne pieniądze pałace, a upośledzonym rozdaje kamyczki”.  
– **Twardy ma Pani pancerz?**

– Przyzwyczaiłam się do takich zachowań. Gdy byłam w ciąży z Michałem, już dwa miesiące przed porodem odbierałam telefony z gratulacjami. „Ale ja nie mam córek, jeszcze nie urodziłam” – odpowiadałam. „Jak to nie? Niech pani głupot nie opowiada, przecież moja siostra w szpitalu pracuje i dobrze wie, że Pani ma piękne bliźniaczki”. Ludzie zawsze wiedzą lepiej.  
– **Boli to Panią?**  
– Czasem sobie popłaczę i już. Przecież nawet za program „Spotkajmy się” dostawałam w łeb. Wtedy bolako. Bo przecież to najtrudniejsza rzecz, jaką w życiu robiłam. Słyszałam czasem: „Co ta aktorka się wygłupia? Ani z niej terapeutka, ani lekarz, ani psycholog. Kreuje się przy chorych. Po co wpięprza się w cudzy ogródek?”  
– **No właśnie, po co?**  
– To bardzo potrzebne rozmowy. Nie prowadzę ich jako lekarz ani psycholog. Od tego są specjaliści. Rozmawiam jak zwyczajny człowiek, który znalazł czas na wysłuchanie drugiego człowieka. I odważa się rozmawiać o bolesnych sprawach.  
– **To trudne?**  
– Trudne, bo co ja mogę poradzić choremu śmiertelnie chłopakowi? Mogę tylko spokojnie wysłuchać – usmiechnąć się, popłakać, czasem poartować.  
– **Pani siebie lubi?**  
– W ogóle się nad tym nie zastanawiam. Ważniejsze, by lubił mnie mój Krzysztof, Michał i ludzie, z którymi pracuję.  
– **A lubi Pani patrzeć w lustro?**  
– Muszę, jak się charakteryzuję. Ale wpatrywanie się we własną twarz i analizowanie zmarszczek, zmian – mało mnie interesuje.  
– **Im bardziej boli, tym jestem bardziej radosna. To nie jest normalne.**  
– Ja to powiedziałam? Gdzie to przeczytałyście?  
– **W jednym z wywiadów.**  
– Nie miałam tego na myśli. Po prostu tak jestem skonstruowana, że im gorszy jest mój stan fizyczny, tym lepszy psychiczny. Po wypadku na Węgrzech, gdy zmagalam się z amnezją i nie kontrolowałam tego, co robię, lekarze byli zszokowani, widząc mnie usmiechniętą. Cierpienie wcale nie uszlachetnia, ból nie daje radości. Często doprowadza człowieka do ruiny. Szczególnie wtedy, gdy jest samotny.  
– **Ma Pani jeszcze potrzebę, by zaskakiwać?**  
– Nigdy takiej nie miałam. Wolę siedzieć w kącie i patrzeć. Choć nauczyłam się stać na scenie i przed kamerą. To mój zawód.  
– **Teatr ma dla Pani wciąż takie samo znaczenie?**  
– Coraz większe. Dokładnie zrozumiałam, czym jest w moim życiu. Gdyby nie scena, chyba nie poradziłabym sobie z wieloma życiowymi dramatami. Wychodzę na deski i zapominam o tym, co jest dookoła. Nie dzwoni komórka, nie odbieram e-maili. Mam swój bezpieczny, wirtualny świat,

**Anna Dymna:**  
– Z jedną twarzą  
wchodzę w różne  
przestrzenie....  
W „Orestei” biegam  
po scenie z siekierą  
i zabijam, ale, gdy  
opada kurtyna,  
przestaję być  
morderczynią.  
To nie ma nic  
wspólnego ze  
schizofrenią.



gdzie panuję nad emocjami. Czasami je sama wywołuję, mogę nimi manipulować. I jeszcze mam widzów, którzy biją brawo. To jest dla mnie najlepszy gabinet terapeutyczny.

– **Inny niż przed laty?**

– Zmienia się. Mój teatr to teatr Swinarskiego, Jarockiego, Wajdy, Grzegorzewskiego. Rozumiem, że młodzi szukają nowych dróg, nowych środków wyrazu. Nieważne, czy to mi się podoba, czy nie. Nie jestem od oceniania.

– **Ale?**

– Czasem bywam tym teatrem zmęczona. Jest w nim tak dużo prowokacji i agresji, której po prostu nie wytrzymuję. No i wielu rzeczy w nim nie rozumiem. A jeśli nie rozumiem, nie mogę przecież brać w tym udziału. Nie jestem małpą. Zawsze tak miałam. Muszę wierzyć w sens, by zagrać.

– **A gdy Panie nie rozumie?**

– Wtedy rezygnuję.

– **Często?**

– Rzadko. To zawsze dla mnie przykra przegrana. Ale uczciwa. Nie biorę udziału w żadnych nagonkach na nowy teatr. Wiem, że jest i będzie zawsze potrzebny, że musi poszukiwać. A to oczywiste, że za mojej młodości było inaczej. Może paradoksalnie łatwiej. Zylałam w zapiekłej komunie, miałam niewiele atrakcji, pokus. W teatrze nie musiałam nawet wszystkiego rozumieć do końca, choć zawsze wiedziałam, czemu służę. Dziś nie czuję się tak bezpiecznie.

– **Dlaczego?**

– Świat tak szybko się zmienia. Za wieloma rzeczami już nie nadążam. Nie jestem w stanie zrozumieć wielu skojarzeń, prowokacji. Ale wciąż zadaję pytania. Niewygodne, bo bardzo proste

– **Może za dużo chce Pani wiedzieć?**

– A to źle? Lubię rozumieć, o co chodzi, jak w coś wkładam serce i wysiłek.

– **Śnią się Pani koszmary, że może to już koniec?**

– Nie, całkiem inne. Że wchodzę na scenę i nie wiem, co to za sztuka. Mówią do mnie: „Anka, graj”, a ja nie wiem, co mówię i wymyślam jakieś słowa. Strasznie się męczę. I jeszcze mam jeden koszmarny sen: że biegnę na scenę i zderzam się ze ścianą. Słyszę wołanie: „Ania, na scenę”, a ja jej nie potrafię znaleźć. Śni mi się to, bo przeżyłam taką historię w Opolu. Graliśmy „Noc Listopadową”. Wysiadłam na złym piętrze i nie mogłam trafić.

– **Anna Dymna rozbija głową mur?**

– Nic z tego. Chwilę pomyślałam i odnalazłam drogę.

– **Mnie się śni, że chodzę po mieście bez butów. I bardzo się tego wstydzę.**

– A tam, bez butów... Mnie się śni, że paraduję bez majtek.

– **Wstydzisz się Pani czegoś?**

– Nie wiem. A powinnam? Wiem, że należałoby się wstydzić, bo się jest starym i grubym, ale tak nie mam. Wiecie, kto był dla mnie najpiękniejszą osobą, gdy byłam małą? Babcia. Z milionem zmarszczek. I pięknie chrapała. Z takim pogwizdem. Wydawało mi się, że najładniejsi są starzy ludzie. I wielkie było moje zdumienie, kiedy odkryłam, że się nimi pogardza. Dziś jestem z siebie naprawdę dumna. Mam kopę lat z hakiem, budzę się i wciąż mi się chce zaczynać nowy dzień. To, że kiedyś szybciej biegłam, byłam młoda i mężczyźni mnie uwodzili, czy to była moja zasługa?

– **Jakże Anna Dymna ma słabości?**

– Składam się z samych słabości. Walczę z paleniem. Alkohol dobry lubię posmakować, ale nie piję, bo nie mam kiedy. Zresztą nie lubię być pijana. Zakupów nienawidzę robić, bo się boję supermarketów. Wpadam w nich w popłoch i chce mi się płakać. O, wiem, mam jedną słabość: garnki. Garnki mi się podobają i patelnie! Takie piękne teraz są. Chciałabym mieć ich dużo i jeszcze więcej.

– **Kłóci się Pani?**

– Oczywiście, że się kłóczę. Dobrze jest sobie wrzasnąć, rozładować się i zapomnieć. A nie nosić w sobie urazu i żali. To strasznie cięży. A i tak przecież nie jestem lekka.

– **No i klnie Pani.**

– To już ustaliłyśmy. Sonia Bohosiewicz napisała na okładce książki „Dymna”, że przeklinam najładniej na świecie. Nie uczyłam jej, ale pewnie gdzieś mnie widziała w akcji. Miałam świetnych nauczycieli.

– **Podejmuje Pani ze sobą walkę?**

– Od świtu do nocy boksuję się z tą Dymną. I w pysk jej daję, i kopa, i pogłaszczę, żeby grzecznie szła do przodu.

– **Powiedziała Pani, że gdy przejdzie na emeryturę, odpocznie, wyda kilka książek. Jakich?**

– Na pewno dla dzieci. O kotku Fafelku i myszce Kiki. Układałam te opowiadania dla syna Michała, gdy był malutki. Często wyjeżdżałam, więc pisałam do niego karteczki z drogi z kolejnymi odcinkami. Wierszem. Trzynasto-, jedenasto-, ośmiozłogowym. Babcia mu je czytała. Niektóre znalazłam. Może nie jest to wybitna literatura, ale kotek Fafelek – przyjemny.

– **A ta druga, o Dymnym?**

– Piszę ją od kilkunastu lat i co napiszę, skreślam.

– **Czego Anna Dymna jeszcze światu nie powiedziała?**

– Wielu rzeczy. Pisanie tej historii nie jest dla mnie łatwe. Nie chcę najpiękniejszych moich wspomnień rzucić na rynek. Tak, by zostały strywalizowane, skwitowane śmiechem. Mam w sobie straszny opór, a z drugiej strony – zdaję sobie sprawę, że Dymnemu ta książka się należy. Chcę w niej opublikować jego listy z wojska, podczas gdy był internowany, jego teksty. To ma być także historia pewnego spotkania. Dziwnego, intensywnego, które się skończyło tragicznie i nagle, a właściwie wciąż trwa.

Na pewno byłaby to książka dla ludzi, którzy stracili kogoś ukochanego i dalej żyją bez niego.

– **Nie zamknęła Pani tego rozdziału życia?**

– Sam się zamknę, jak umrę. Wiesiu był niewątpliwie człowiekiem, który mnie ukształtował, noszę jego nazwisko. To, że teraz mam innego ukochanego, niczego nie zmienia, a pamięć o Dymnym mojemu Krzysztofowi niczego nie zabiera.

– **Może gdyby zakończyła Pani książkę, zamknęłaby ważny rozdział?**

– Co mam zamykać? Mnie nic nie dręczy ani nie przeszkadza być szczęśliwą. Życie z Dymnym było niezwykle i tragiczne. Jak opisać postać zagubionego artysty, wolnego, „dziłkiego” człowieka w potwornych czasach niewoli i pogardy. Jak pisać o ludziach, którzy nas otaczali, o problemach, tragicznych wydarzeniach, nałogu, walce, miłości. Jak? I czasem myślę: to moje. Nikomu tego nie oddam.

– **Po stracie bliskiego człowieka ludzie często nie wierzą, że mogą być jeszcze szczęśliwi.**

– No bo to trudne. Świat się wali. Wydaje się, że zaraz wszystko się skończy, że nie ma już sensu.

– **I wtedy ma się ochotę rozłożyć bezradnie ręce?**

– Nie wiem. Ale kiedy przeżyłam ciężki wypadek, naprawdę umierałam i straciłam pamięć, to po odzyskaniu przytomności czułam tylko jedno... radość, że żyję. Wiele zrozumiałam, bo też zawsze wierzyłam, że tam, po drugiej stronie, coś jest.

– **Nie wszyscy tak potrafią.**

– A w ogóle, o czym wy ze mną rozmawiacie? Śmierć i śmierć, a przecież ja żyję, czuję się dobrze. Jeszcze nie umieram. Idę się uczyć tekstu!